II

Figeac, Francja 8 VIII 1945 roku

Początek sierpnia tego roku w południowych dystryktach Francji należał do nadzwyczaj upalnych, a poranek tego dnia nie wydawał się zwiastować nagłej zmiany. Nikły powiew chłodnego wiatru znad nieodległych Pirenejów nie mógł znacząco odmienić, przewidywalnego rozwoju zdarzeń, meteorologowie także nie zapowiadali nagłych zwrotów na mapie pogody. Oczywistym wydawało się że narastający z każdą minutą upał, w okolicach południa na długie godziny wyludni ulice i chodniki, zepchnie pasjonatów świeżego powietrza do parków i nadrzecznych ławek lub też zatrzyma w zacienionych pomieszczeniach winiarń, kawiarń i domostw. W następnej kolejności powracająca fala wieczornego chłodu odwróci bieg wypadków i gdzieś w okolicach godziny dwudziestej ulice, promenady i deptaki wypełnią się wielobarwnym korowodem pogrążonych w dialogach, przechodniów. Zanim to jednak nastąpi poranne godziny rozbrzmiewać będą wzmożonym ruchem samochodów, rowerów i motocykli, przemierzających miejskie ulice we wszystkich możliwych kierunkach, nim unieruchomi je południowe słońce.
Mężczyzna w sile wieku, prowadzący Citroena Traction Avant, rozregulował do maksimum nawiew zimnego powietrza i opuścił do połowy wszystkie szyby. Wysoki grill zachłannie połykał porcje szybko nagrzewającego się powietrza. Zatrzymawszy samochód przed znakiem stop, czekając na włączenie się do ruchu, na ruchliwą o tej porze dnia Rue Les Condamines, otarł ociekające potem czoło i włączył radio. Z głośnikach wybrzmiał komunikat o nasilających się walkach na Dalekim Wschodzie, o amerykańskim pierścieniu zaciskającym się wokół wysp japońskich, po czym nastąpiło krótkie sprawozdanie z postępu w działaniach wojennych na tamtejszym teatrze walk. Mężczyzna przejechał most nad niewielkim dopływem rzeki Lot, minął po prawej budynek merostwa, opuszczony przed czterema miesiącami przez przedstawicielstwo rządu Vichy i skręcił w obsadzoną platanami promenadę. Owionął go zbawienny chłód, mógł już całą uwagę skoncentrować na poszukiwaniu zarekomendowanego mu składu materiałów budowlanych „ Lautier et Sorel”. Zamierzał zakupić zestaw produktów niezbędnych do remontu zapadającego się poddasza domu, odziedziczonego po zstępnych, wieku którego, ani on sam, ani też oni nie byli w stanie określić. Wyminął skład win, mieszczący się na dwóch pierwszych kondygnacjach neorokokowej kamienicy, nakrytej mansardowym dachem i przetoczył sunący wolno samochód ku niewielkiemu parkingowi, wydzielonego z rozległego trotuaru, łańcuchami barierek. Zaparkował rozłożystego Citroena tuż przy Renault Juvaquatre po czym prostując drętwiejące plecy, udał się ku przeszklonym drzwiom sklepu, mającego w swojej ofercie szeroki asortyment produktów niezbędnych do wzniesienia budynku mieszkalnego jak i przeprowadzenia w nim niezbędnych remontów. Przeszedł wzdłuż sekcji oferujących najwymyślniejszych kształtów i najrozmaitszych rozmiarów pędzle i malarskie szczotki. Wybrał dwie różniące się rozmiarami, obie z nich wykonano z miękkiego włosia, obie też doskonale dopasowane były do dłoni. Umieścił je w metalowym wózku i skierował kroki ku części sklepu mieszczącej szeroki wybór gipsów, od szybkoschnących budowlanych począwszy, poprzez szpachlowe wolno schnące, na ceramicznych kończąc. Zapakowawszy dwa osypujące się worki do wózka, udał się do sekcji eksponującej wszelkiego rodzaju siatki zbrojeniowe, wiązadełkowe druty i żelbetowe konstrukcje. Spakował do wózka cztery zwoje zrolowanej siatki, po czym skreślił materiał ten z listy zakupów. Podjechał pod półki uginające się pod ciężarem puszek z farbami. Pobieżnym spojrzeniem odczytał treść etykiet, a stwierdziwszy nie-

przydatność żadnej z szerokiego asortymentu farb olejnych, zatrzymał się przy regale wypełnionym farbami klejowymi. Rozsypany na podłodze różnokolorowy pył sugerował dostępność szerokiej gamy kolorów, oferowanych w jasnobrązowych workach wykonanych z pakowego papieru. Przemknął po próbniku kolorów zawierającym pastelowe barwy, od białego poprzez całą gamę barw ciepłych, aż po wszystkie gradacje barw zimnych, rozmywających się w neutralnych szarościach, na czerni kończąc. Wybrał biel, dwa worki farby w kolorze pistacjowym i trzy jasnego karminu, uzgodnione uprzednio z żoną, wiążącej z remontem nadzieje na rozjaśnienie, dotąd zbyt ciemnego jej zdaniem, poddasza. Nim udał się do nieodległej kasy, raz jeszcze przemknął wzrokiem po liście zakupów i porównał ją ze stanem wybranych artykułów, wypełniających wózek po brzegi. W jego wnętrzu znajdowało się wszystko, czego zakup zaleciła niewielka firma budowlana, mająca jutrzejszego dnia rozpocząć prace remontowe. Masywna, mosiężna kasa, donośnym metalicznym dźwiękiem, oznajmiła wystawienie rachunku. Długo jeszcze pobrzmiewał on w uszach mężczyzny wraz z sumą sześciuset pięćdziesięciu dwu franków i dwudziestu trzech centymów, na jaką opiewał wystawiony rachunek. Dwuczęściowe drzwi uchyliły się pod naporem wypełnionego po brzegi wózka, zdyszany nieco mężczyzna, z niemałym trudem dopchnął go do zaparkowanego samochodu i przystąpił do rozładunku. Zakupiony towar niepostrzeżenie zniknął w czeluściach przepastnego bagażnika, a zatrzaśnięta klapa targnęła przytwierdzonym do niej, zapasowym kołem. Odprowadzony wózek brzęknął o metalowy statyw, a nim dźwięk ten zdążył rozproszyć się w wąskich uliczkach, szpakowaty mężczyzna zniknął we wnętrzu czarnego Citroena, wygodnie rozsiadając się za kierownicą. Odpalony silnik zaturkotał równomierną pracą czterech cylindrów, kierowca uchylając wszystkie szyby zjechał ku Rue Emil Zola mającej doprowadzić go najkrótszą drogą do miejsca zamieszkania. Pustoszejące ulice umożliwiły mu skoncentrowanie się na najbliższych zawodowych zobowiązaniach.

Wykonywany zawód żurnalisty zmuszał do samodyscypliny. Przywołał w myślach wszystkie najbliższe terminy do jakich zobowiązywały go redakcyjne umowy. Do czternastego sierpnia musi oddać do druku artykuł dotyczący zbrodni dokonanych przez kolaborancki rząd Vichy, na dziesiątego sierpnia przewidziana jest wizyta w merostwie prefekta, z okazji której zobowiązał się do napisania obszernego powitania. Najpóźniej pojutrze powinien oddać do druku pracę, wykonaniu której poświęcił się z ogromnym sentymentem, od dawna planowanej, a teraz wreszcie mogącej doczekać się swojej realizacji. Zamówienie dotyczyło fabularyzowanej monografii pra pra dziadka, zasłużonego na polu lingwistyki, poligloty władającego podstawowymi językami współczesności i większością spisanych języków świata starożytnego. Prekursora egiptologi, któremu współcześni przypisali zasługę odczytania po raz pierwszy w historii egipskiego pisma hieroglificznego.

Wobec przodka czuł się zobowiązany w dwójnasób, jako pierwszy potomek w linii męskiej, otrzymał po nim imiona Jean Francois, a także odziedziczył dom w którym aktualnie zamieszkiwał. Zastanowił się nad przyczynami trudnej do wytłumaczenia opieszałości w stworzeniu monografii pra pra dziadka. Zajmując się felietonistyką od dwudziestu kilku lat, odkąd tylko zdążył ukończyć dziennikarskie studia, decyzję o powstaniu pracy monograficznej odkładał na kolejne lata. Zdążył zostać korespondentem w algierskim Tanger, rozpoczął spisywanie wspomnień z okresu pobytu w tym nieodległym francuskim dominium, odpowiadał na zapotrzebowania Historie, pisywał do L' Humanite i la Provance, jednakże jego osobiste spojrzenie na życiorys sławnego przodka, poparte relacjami babek i prababek, jak dotąd nie mogło doczekać się urzeczywistnienia. Za podobnym stanem rzeczy stać musiało złudne wyobrażenie o nieograniczonej pojemności czasu, w jakim zawiera się ludzkie życie. Przekonanie, że nieznacznie oddalony termin doczekać się musi swojego miejsca na osi czasu, że zdarzenia nieprzewidywalne i nie przeczute, nie zepchną go na mielizny codziennego zrutynizowania i nie wyprą go z nurtu teraźniejszości. O nieprawdziwości podobnego przeświadczenia przekonywał się wraz z przemijaniem każdego, kolejnego roku, a wraz z upływem każdej dekady twierdził że ludzkie życie jest zbyt krótkie, by urzeczywistnić marzenia młodości. Będąc teraz w sile wieku na potwierdzenie przypuszczeń tych zyskiwał ostateczne do-

wody i gdyby w ostatnich dniach nie ukończył monografii pra pra dziadka, najpewniej nie napisałby jej nigdy. Na przeszkodzie stawały kolejno wyzwania kariery zawodowej, zobowiązania związane z życiem rodzinnym, aż wreszcie nieprzewidywalność każdego z wojennych roczników. Wprawdzie południowa Francja, a wraz z nią środkowe Pireneje, w tym niewielkie Figeac nie brały bezpośredniego udziału w działaniach wojennych, a wojna ograniczała się do zmiany stacjonujących w pobliżu korpusów niemieckiej armii, to jednak byt tej części Francji uzależniony był od przebiegu działań wojennych w Europie i na świecie. Nie zdążył też do dzisiaj doprowadzić do skutku od dawna planowanej wyprawy do Londynu, ażeby zobaczyć z bliska przechowywany w Muzeum Brytyjskim kamień z Rosetty, na podstawie zapisów którego jego pra pra dziad odszyfrował egipskie pismo hieroglificzne.

Planowany remont pośród zbliżających się terminów był najmniej pożądany, mógł tylko zakłócić napięty zawodowy harmonogram, jednakże był konieczny. Wydział nadzoru budowlanego najbliższego merostwa, po przeprowadzeniu przepisowych inspekcji, zaniepokojony zawaleniem się dachu pobliskiego budynku, nakazał przeprowadzenie niezwłocznych napraw poszycia dachowego i ścian. Zalecał dotrzymanie krótkich terminów, a pozytywnym wynikiem najbliższej inspekcji, warunkował możliwość dalszego zasiedlania zabytkowego budynku. Na domiar złego prace nadzorować miał konserwator zabytków, obligujący właścicieli domu do częstych konsultacji na każdym etapie prac. Na tak restrykcyjne decyzje nałożyć się musiało z pewnością pięć lat wojennych zaniedbań, niedokonanie w czasie tym żadnej z niezbędnych kontroli – rozważał swoje aktualne położenie Jean Francois Tresmontant, mijając kolejne z przęseł średniowiecznego mostu.

Poranny ruch ustał, dyslokując niemal wszystkie samochody w mieście, pod miejsca pracy ich właścicieli. Przemieszczając się przestronnymi ulicami mógł urozmaicić sobie czas rozważaniami nad przebiegiem i sensem aktualnych zdarzeń, wiedząc że w domu zwykle brakuje czasu na oddawanie się podobnym bilansom. Powracał myślami do zakończonej niemal, fabularyzowanej monografii pra pra dziadka, do nieustannie oddalanego w czasie terminu jej ukończenia. Wspomniał potrzebę serca z jaką przystępował do jej opracowywania. Przypomniał sobie z jaką pieczołowitością przystąpił do gromadzenia wspomnień swojej babki, a wnuczki wielkiego przodka, w pamięci której wspomnienia te były najświeższe i najżywsze. Na jego życzenie babka chętnie przywoływała anegdoty związane z życiem Jean Francois Champoliona. Nie mniej niż on sam, starała się ocalić od zapomnienia postać znamienitego przodka, zapomnienia jakie niesie z sobą pogrążanie się w czasie minionym, każdego z przemijających pokoleń. Prawidłowość ta w nie mniejszym stopniu, co dostrzegł na własnym przykładzie, dotyczy także rodzin posiadających w swym gronie ludzi niezwykłych, zasłużonych i uznanych. Nie działo się tak bynajmniej za przyczyną negowania na przestrzeni dekad i wieków niepodważalnych dokonań, niesprzyjających obowiązującym doktrynom, lecz z powodu najzwyklejszego zaniechania. Wprawdzie istniały opracowania sławiące imię przodka pośród tuzów francuskiej nauki, zaistniał on w oficjalnym obiegu informacji encyklopedycznych jako twórca systemu pozwalającego odczytać egipskie hieroglify, posłużywszy się trójjęzycznym zapisem na kamieniu z Rosetty, to jednak nie brakowało głosów gotowych zasługi te przypisać konkurentom.

W odróżnieniu od dotychczasowych opracowań, w monografii swojej zamierzał uchwycić sylwetkę pra pra dziadka w oparciu o relacje bezpośrednie, w odniesieniu do cech i zachowań czysto ludzkich, przekazanych babce przez jej babkę, a żonę Jean Francois Champoliona. Zamierzał na ile to będzie możliwe wniknąć w stan świadomości przodka, poznać motywy jakie skłoniły go do ponoszenia niezliczonych wyrzeczeń na drodze do osiągnięcia epokowego sukcesu. Za przyczyną czego stał się niezłomny i niebywale wytrwały, jakiego rodzaju moce sprawcze stały za jego unikalnym talentem do opanowywania i posługiwania się niewiarygodną liczbą języków, tak żywych jak i martwych? Zamierzał przeniknąć jego myśli i emocje, dotrzeć do tajników podświadomości, wreszcie poznać przyczyny niechęci z jaką odnosił się do wspomnień wyprawy naukowej do Egiptu, o szczegółach której nie odważył się wspominać nikomu z grona najbliższych sobie osób, a wszelkie dociekania zbywał wymownym milczeniem.

Jean Francois Tresmontant kończąc spontanicznie nasuwające się rozważania, minął bramę miejskiego

cmentarza, wziął głęboki zakręt w kierunku najbliższej promenady. Wąskie koła zapiszczały na kostce granitowej, szczelnie wypełniającej odległość pomiędzy krawężnikami, na skutek czego ciężki ładunek załomotał o ściany bagażnika. Podjeżdżając pod rodzinny dom, dziedziczony pomiędzy kolejnymi pokoleniami, żurnalista przemknął wzrokiem po jego górnej kondygnacji. Zewnętrzny ogląd nie przywodził na myśl żadnych z niepokojących objawów, mogących zagrozić trwałości całej konstrukcji. Wszystko to wina rozregulowanych norm, a nieodległy budynek zawalić się musiał na skutek niewłaściwej eksploatacji – powiedział w duchu. Parkując, zwrócił samochód bagażnikiem w stronę wejścia, by odległość do pokonania z ciężkimi workami na ramionach nie nadwyrężyła nadmiernie jego, nie młodego już organizmu. Mosiężna kołatka wydała z siebie głuchy i przerywany stukot. Kobieta w średnim wieku, na widok męża, rozpromieniła jowialną w wyrazie twarz.

- Uwinąłeś się z zakupami jak gdybyś naprawy domu przeprowadzał równie często jak samochodu.

- Najchętniej nie przeprowadzałbym ich wcale, a wróciłem tak wcześnie dla tego tylko, że w sklepie budowlanym nie było kolejki - odpowiedział żurnalista, rozglądając się za fartuchem.

Odnalazł go pośród innej odzieży wierzchniej, wiszącego na wysłużonym lecz nadal wartościowym wieszaku. Niezwłocznie założył poplamiony zaprawą tynkarską, fartuch, po czym udał się do zaparkowanego samochodu. Długo zastanawiał się który z produktów dobyć w pierwszej kolejności, starając się pospiesznie określić ich przydatność do kolejnych etapów prac. W efekcie postanowił decyzję tę pozostawić szefowi ekipy budowlanej, a ciężki i nie poręczny towar w dowolnej kolejności ulokować w pobliskim garażu. W momencie gdy osypujący się gips z odniesionego worka przyprószył świeżo wypastowane buty, żurnalista wyszeptał kilka dosadnych słów i postanowił pracę tą również pozostawić w gestii wykonawców remontu, natomiast sam udał się ku frontonowi osiemnastowiecznego domu. Przez myśli przemierzającego kwiatowe rabaty mężczyzny, przemknęło wspomnienie sprzed dwudziestu kilku lat, gdy sędziwa babka oznajmiła mu z dawna wyczekiwaną wiadomość o scedowaniu na niego praw do zabytkowego budynku. Dumę z faktu odziedziczenia po sławnym przodku zacnej siedziby o niewątpliwej wartości materialnej zabytkowej i architektonicznej odczuwał po dziś dzień. Przeszedł kilka metrów po chodniku wyłożonym płytami piaskowca, po czym zamknął za sobą ciężkie drzwi.

- Kristin, z rozładunkiem zaczekamy na przyjazd firmy remontowej - oznajmił donośnym głosem, poszukując jednocześnie bystrym wzrokiem żony w rozległym salonie, połączonym z kuchnią ażurowym aneksem.

- Co mówisz, Francois? Niedosłyszałam - ozwał się głos żony wychodzącej z garderoby.

- Mówię że samochód rozładują pracownicy budowlani, to nieodpowiednia praca zważywszy na mój wiek i siły.

- Sam przecież mówiłeś że dzisiejszy dzień poświęcimy na przygotowania do remontu.

- Tak mówiłem i postanowienie to jest nieodwołalne, musimy dotrzymać jutrzejszego terminu. Kristin jesteś tam?

- Jestem, jestem - głos żony dobiegł z łazienki.

- Chciałbym ci także jeszcze dzisiaj przedstawić do recenzji monografię pra pra dziadka. Pamiętasz, pojutrze muszę oddać ją do druku.

- Pamiętam, pamiętam, daj mi kilkanaście minut.

- Naturalnie.

Jean Francois Tresmontant zwykł wszystkie swoje dzieła, przed oddaniem do druku przedkładać do recenzji żonie. Z wykształcenia filolog klasyczny, pomimo że nieczynna zawodowo, obdarzona była niespotykanym często słuchem literackim. Potrafiła wychwycić wszelkie stylistyczne niedociągnięcia czy też zaburzenia w składni, wyodrębnić i usunąć każde zbyteczne słowo, niewspółgrające brzmieniowo jak i nieharmonizujące w sferze znaczeniowej. W pełni zdawał się na jej sądy, stosował do wszelkich sugestii i chętnie korygował zakreślone czerwoną kredką akapity, wymagające naniesienia poprawek.

Udał się do gabinetu, mieszczącego się w lewym tylnym skrzydle domu, z szuflady secesyjnego kredensu

wydobył skoroszyt spinający materiały będące na ukończeniu, jak i te gotowe do druku. W kilku powolnych ruchach przekartkował zapiski, po czym pozostawił je na owalnym stole, usytuowanym pośrodku salonu.
- Kristin, tekst do recenzji naszykowałem w twoim ulubionym miejscu. Życzę przyjemnej lektury, a ja tymczasem zajmę się wystawianiem mebli z pokoi na poddaszu.
- Wkrótce przystąpię do pracy - odpowiedziała krzątająca się w kuchni żona.
Żurnalista przejrzał kilka biurowych teczek na górnej półce kredensu, minął żonę trzymającą na wyciągniętej przed siebie dłoni porcelanowy podstawek wraz z parującą filiżanką, zdobną w rokokowe scenki rodzajowe. Nie chcąc przeszkadzać zabierającej się do odczytu małżonce, skrzypiące miarowo schody starał się pokonać, na ile to było możliwe, bezszelestnie. Znikając za drzwiami pokoju, mieszczącego się po prawej stronie niedługiego korytarza, dostrzegł żonę przeglądającą plik maszynopisów, sięgała właśnie po pierwszą z kartek.

Fabularyzowana monografia mego pra pra dziadka Jean Francois Champolliona

W czasie gdy nie umilkły jeszcze echa egipskiej wyprawy Napoleona Bonaparte, w niewielkim mieście Figeac w południowej Francji, jedenastoletni chłopiec o szatynowych włosach i ciemnej, niemal brązowej karnacji, przeciętnego wzrostu jednakże o nieprzeciętnych zdolnościach lingwistycznych, opanowywał kolejne języki. Znał już łacinę i grekę, poznawał arabski, hebrajski i syryjski. Tego wieczoru, codziennym zwyczajem siedział za dębowym stołem o łagodnie wygiętych nogach, zasłanym rzędem książek i przy matowym świetle sączącym się z lampy naftowej przeglądał kolejne stronice księgi. Słowa jakie wypowiadał szeptem przy czynności tej, wydawały się być niemożliwe do powtórzenia przez nikogo z domowników. Zbliżająca się północ spowodowała że zniecierpliwiona matka nakazała mu natychmiastowe zakończenie studiów. Odniósł się z niechęcią do jej ponagleń, nakazujących mu zgaszenie lampy i udanie się na spoczynek. Zdradzająca wyraźne oznaki zmęczenia – kobieta – nie chciała ażeby naruszony został spokoj pogrążającej się we śnie rodziny, utrudzonej wyzwaniami długiego dnia. Wbrew temu chłopiec wypowiadał długie monologi w niezrozumiałych dla matki językach, a jedyne czego mogła się domyślać to dezaprobata wobec jej usilnych próśb. Pogodziła się z myślą o kolejnej nieprzespanej nocy, o konieczności doglądania syna pogrążonego w nauce języka nazwy którego, nie była w stanie skojarzyć z żadnym ze znanych sobie obszarów geograficznych, ani też nazwą żadnego ze współczesnych państw. Zmierzyła wzrokiem drobną sylwetkę chłopca pochylającego głowę nad opasłym tomem, nie mogąc znaleźć w myślach właściwych słów dla wyrażenia podziwu nad jego pracowitością i wytrwałością. Po raz kolejny zastanawiała się czy księgarnia prowadzona przez męża, jego bibliofilska pasja mogła wywrzeć piętno na upodobaniach syna, czy też wypływająca z jego wnętrza potrzeba znalazła swoją pożywkę w najbliższym rodzinnym, środowisku. Wspólnie z obudzonym mężem zastanawiali się na ile w przypadku ich syna przyczyny determinowały skutek, czy też obserwowany skutek mógłby zostać osiągnięty bez udziału owych przyczyn, gdyby ich syn przyszedł na świat w otoczeniu pozbawionym słowa pisanego?
Przypomniała sobie wczesne lata jego dzieciństwa gdy po raz pierwszy zadziwił ją samodzielnym opanowaniem umiejętności czytania w wieku pięciu lat, porównując słowa modlitw z ich literowym zapisem w książeczce do nabożeństwa, każdemu z kolejnych dźwięków przypisując właściwą literę. Nie mogła doszukać się przekonywującego wytłumaczenia dla niecodziennych właściwości i cech syna. Myśli jej zataczały szerokie kręgi wokół przyczyn z jakich urodził się z żółtą rogówką w prawym oku, która według diagnoz lokalnych mistyków miała zapowiadać mistyczne związki z bliskim i środkowym wschodem. Przechowywała w pamięci żywe obrazy z nieodległej przeszłości gdy zasługujący na wiarygodność frenolog i fizjonomista, dotykając czaszki malca wyczytał z niej predyspozycje do niezwykłych umiejętności w nauce języków obcych. Powielokroć przyglądała się jego nietypowemu

owalowi twarzy, zdradzającemu cechy ras wschodnich, nie mogąc dociec przyczyn podobnego stanu rzeczy. Sięgnęła pamięcią do jeszcze wcześniejszych czasów gdy nieuleczalnie chora, swoje życie powierzyła w ręce cudotwórcy. On uleczywszy ją oświadczył, ku zdumieniu całej rodziny że urodzi chłopca, dodając że dziecko swoimi czynami dostąpi wielkiej sławy, zdolnej przetrwać wieki. Już wkrótce pierwsza część proroctwa miała się spełnić, na świat przyszedł mały Jean Francois. Zastanawiała się teraz czy pasja i zapał z jaką oddawał się nauce języków może przyczynić się do spełnienia się drugiej części przepowiedni? Uznała że zbyt wcześnie by wyrokować o tak odległych jeszcze zdarzeniach, lecz ciekawość ta długo w noc nie pozwalała znaleźć ukojenia w zasłużonym śnie.

Jean Francois nie ukończył jeszcze siódmego roku życia gdy po raz pierwszy usłyszał nic nie mówiące mu słowo - Egipt. Pomimo to niosło się ono echem w długi czas jeszcze nim wybrzmiały ostatnie litery, składających się na owo słowo i zawierało w sobie rezerwuar ukrytych barw, smaków i doznań wiążących się z egzotyczną krainą dorzecza Nilu. Zelektryzowało go i sprawiło że długo jeszcze pobrzmiewało w jego uszach, w szczególny sposób wyczulonych na dźwięki i znaczenia liter. Padło ono z ust starszego o dwanaście lat brata, rozważającego możliwość wzięcia udziału w egipskiej wyprawie generała Bonapartego. Wiedziony nieuzasadnioną podówczas potrzebą towarzyszenia bratu, po raz pierwszy w życiu poczuł się mały, bezsilny i niedorosły. W jednej sekundzie zapragnął przeobrazić się w przynajmniej szesnastoletniego młodzieńca mogącego na własne życzenie zaciągnąć się do francuskiej armii, a w niedługi czas później, odbywszy regulaminowe przeszkolenie, zaokrętować się na któryś z wysłużonych szkunerów. Wyjść z portu w Marsylii bądź Tulonie i pod pełnymi żaglami popłynąć na południowy wschód ku egipskim wybrzeżom. Ostatecznie starszy brat nie wziął udziału w wyprawie, szybko zapominając o przedwczesnych rozważaniach. W przeciwieństwie do niego, wyobrażenia egipskiej wyprawy w świadomości malca pozostały żywe, powodując bliższe zainteresowanie kulturą starożytnego państwa. Kolejnym przełomowym zdarzeniem w życiu młodego poligloty stało się spotkanie z byłym sekretarzem instytutu egipskiego w Kairze, wtedy to zetknął się po raz pierwszy z pismem hieroglificznym. Przedstawiony papirus z najstarszym pismem Egipcjan wywarł na młodocianym chłopcu, obdarzonym pamięcią absolutną, niezatarte wrażenie. Urzeczony, wpatrywał się w postrzępione płachty pożółkłych papirusów. Najzupełniej odruchowo doszukiwał się znaczeń wizerunków rąk i ramion, piór i wag. Postaci składających pokłony, wyciągniętych do powitania dłonie i półkolistych barek, pełzających ślimaków pozbawionych skorup, zygzakujących linii i ludzkich postaci obdarzonych ptasimi głowami. Unoszący się znad papirusów przedwieczny zapach i wyblakła farba powodowały że rozbudzona wyobraźnia przenosiła go w czasy odległe o kilka tysięcy lat w tamten rejon Afryki, a słuch, wyczulony na brzmienie wszelkich, nieznanych nawet słów, podsuwał mu brzmienie dialogów ówczesnych Egipcjan. Jean Francois wewnętrzną stroną dłoni przesuwał po żłobieniach kamiennych płyt, ukazujących znaki i symbole pisma hieroglificznego, wprawiając się nieświadomie w stan zahipnotyzowania. W czasie gdy opadła pierwsza fala wezbranych emocji, zaprzyjaźniony naukowiec oznajmił że pismo to wciąż oczekuje na odczytanie, jak dotąd nie doszukano się żadnego klucza deszyfrującego zapisy i według wszelkich przesłanek nie prędko to nastąpi. Na widok sugestywnych, miniaturowych ilustracji utalentowany młodzieniec tchnięty został przeczuciem, wypływającym z najgłębszych pokładów intuicji o możliwości ujawnienia sensów i treści, jakie skrywają egzotycznie wyglądające znaki. Kolejnym wrażeniem jakie odniósł obdarzony niewytłumaczalną językową intuicją chłopak, było niezwykle odległe w czasie i przestrzeni pochodzenie pisma. Odległe na tyle, że nie potrafił przypisać go żadnej konkretnej ludzkiej zbiorowości. Na ogół patrząc na zapis pisma sumeryjskiego, syryjskiego, chińskiego jego wyobraźnia podsuwała konkretny wygląd i rysy spisujących je ludzi, lub też całych społecznych zbiorowości. Wygląd ten potrafił odnieś do sumeryjskich autorów pisma klinowego, widział wówczas przed sobą rosłych mężczyzn o atletycznej budowie, ogolonych głowach, śniadej cerze i starannie ufryzowanych brodach. Strojnych w kaunakes, wykonany z koziej skóry, skierowanej włosem na zewnątrz. Rozbudzone zmysły wyczuwały obecność kobiet udrapowanych w spódnice i suknie imitujące kozią sierść, bądź też wykonane z palmowych liści.

Kobiety te potrząsały przegubami dłoni zdobnymi w bransolety, wykonane ze szlachetnych kruszców. Zaznajamiając się z tajnikami sanskrytu, przed oczyma młodzieńca przesuwały się tłumy Hindusów o zróżnicowanej karnacji od barwy cynamonu poczynając, na negroidalnej czerni kończąc, zachowujących przy tym często europejskie rysy i proporcje czaszki, zwieńczone nieodmiennie hebanowymi włosami. Owiniętych w długie i zwiewne dhoti upięte u pasa, stawiających zamaszyste kroki w lekkich sandałach. Oddając się studiom nad językiem pahlawi oczom jego wyobraźni ukazywały się wizerunki starożytnych Persów, ludzi wysmukłych o ciemnej karnacji, przenikliwym i groźnym spojrzeniu kozich oczu, o brwiach zakrzywionych w półksiężyc, zrośniętych ze sobą tuż ponad nasadą nosa. Noszących długie, wypielęgnowane brody, otoczone puklami kręconych włosów. Udrapowanych w stroje mieniące się blaskiem niezliczonych kolorów, z owiniętymi wokół głowy turbanami, obwieszonych w złote bransolety i naszyjniki, inkrustowane drogocennymi kamieniami. Podczas analizowania hieroglifów ta sfera wyobraźni dobrze zapowiadającego się lingwisty zionęła pustką, nie nasuwała najbardziej nawet rozmywających się skojarzeń. Odnosił złudzenie jak gdyby zapomniał wszystkich znanych sobie języków, łącznie z rodzimym francuskim i zabrakło mu słów do wyrażenia opinii i wniosków. Rozwarte usta zamierały w niemym grymasie, a zdezorientowany umysł błądził po nieznanych mu przestrzeniach. Na przemian odczuwał lęk i bezsiłę, zmuszony był odrywać wzrok od hieroglificznych zapisów, ażeby przywrócić właściwy sobie stan świadomości. Zaintrygowany co też mogą skrywać tak niewytłumaczalne, tajemnicze i nieuchwytne dla niego pochodzenie hieroglificznych znaków, powziął postanowienie o dołożeniu wszelkich starań i wykorzystaniu wszystkich swoich ponadprzeciętnych umiejętności, by dociec tajników ich przeszłości i stać się pierwszym człowiekiem w historii językoznawstwa czytającym egipskie hieroglify.

Ograniczony dostęp do materiałów porównawczych i bazy badawczej spowodowały że powzięte decyzje nie mogły doczekać się natychmiastowej realizacji. Piętrzące się utrudnienia w żaden sposób nie zdołały zniechęcić młodego pasjonaty. Niemoc bezpośredniego urzeczywistnienia postanowień w sposób bezpośredni, postanowił zamienić na działania pośrednie. Rozpoczął naukę języków syryjskiego, haldejskiego i koptyjskiego, w przekonaniu przysłużenia się ich do odczytania tekstów staroegipskich. Wszystkie swoje wysiłki ukierunkował na dotrzymanie złożonych przyrzeczeń. Języka starochińskiego uczył się tylko w jednym celu, ażeby zbadać jego pokrewieństwo z językiem staroegipskim. Podejmował kolejne wyzwania, przedmiotem lingwistycznych studiów uczynił język zen. Poddawał analizie próbki tekstów języków używanych w najbardziej zamierzchłej przeszłości. Zgłębiał strukturę języka pahlawi, sanskryt z każdym miesiącem skrywały przed nim mniej tajemnic. Pozostałości języka starożytnych Egipcjan postanowił też poszukiwać we współczesnych mu arabskim i perskim, w nadziei natrafienia na poszukiwany trop. Lingwistycznych badań dokonywał z niesłabnącym zapałem, obojętny na wszelkie uroki i pokusy młodzieńczego życia. Język koptyjski, odległą gałąź języka staroegipskiego, stosowanego nadal w liturgii kościołów koptyjskich, poznał na tyle skutecznie że sporządzał w nim pomocnicze notatki. Wciąż pogłębiając jego znajomość w zapisie koptyjskich słów posługiwał się pismem demotycznym, a język ten jak już wkrótce miało się okazać, stał się najbardziej pomocny w dotrzymaniu postanowień odszyfrowania hieroglifów. Następujące po sobie etapy młodzieńczego życia spowodowały że miał on już wkrótce rozpocząć studia na wydziale języków starożytnych w Collage de France, gdzie usystematyzował swoją wiedzę. Napływające z każdym rokiem coraz szerszym strumieniem do Europy, eksponaty z wykopalisk prowadzonych w dolinie Nilu, spowodowały że obok wyzwań jakie niosły z sobą studia, oddawał się gromadzeniu materiałów niezbędnych do rozpoczęcia prób nad odczytaniem jednego z najstarszych języków świata. W roku rozpoczęcia studiów zdążył opracować mapę starożytnego Egiptu, a w siedem lat później wydał książkę, na pierwszej jej stronie zamieszczając nagłówek Jean Francois Champollion „Egipt pod panowaniem faraonów". Poczynił milowy krok w odszyfrowaniu pisma hieroglificznego, naukowa intuicja natomiast podsuwała kierunki w jakich powinny nastąpić kroki kolejne. Przedstawienie publikacji podczas uniwersyteckiego odczytu spowodowało że w wieku siedemnastu lat przyjęty został

do Akademii w Grenoble, gdzie w dwa lata później został najmłodszym profesorem tamtejszej uczelni. Koleje losy młodego naukowca okazać się miały równie pokrętne i obfitujące w nagłe zwroty jak dzieje ówczesnej Francji. Entuzjastyczne powitanie i sympatie okazane przez dwudziestopięcio letniego lingwistę Napoleonowi Bonaparte podczas jego wizyty w Grenoble zaniepokoiło powracających do władzy Burbonów. Długa wymiana spostrzeżeń na temat badań młodego profesora i egipskiej wyprawy upadłego cesarza w połączeniu z podejrzliwością Ludwika XVIII – go, spowodowały że naukowiec trafił na dwa lata do aresztu domowego. Przypadek sprawił że w okresie tym, gdy mógł poświęcić badaniom większą ilość czasu, wszedł w posiadanie drukarskiej odbitki inskrypcji wyrytych na bazaltowym obelisku, nazywanym już wówczas kamieniem z Rosetty, dostarczonej przez jednego z zaufanych przyjaciół. Warunki aresztu domowego spowodowały że Jean Francois Champollion mógł odtąd w nieograniczony niczym sposób oddawać się urzeczywistnieniu życiowej pasji, a przymusowy pobyt w jednym miejscu, sprzyjającym koncentracji całej uwagi już wkrótce miał zaowocować przełomowymi odkryciami. Powzięte na przełomie dzieciństwa i okresu młodzieńczego, postanowienia o odczytaniu hieroglificznych zapisów starożytnych Egipcjan z każdym tygodniem przybierało dostrzegalne kształty. Wytrwale gromadził teksty porównawcze i bazę poglądową, materiałów dostarczali mu przyjaciele, powracający z egipskich wypraw. Obdarowywali oni lingwistę licznymi kopiami hieroglifów, w tym odciskami zapisów jakie pokrywały ściany świątyń. Dokonując zestawienia wyrytych na nich kartuszy Kleopatry z kartuszami z kamienia z Rosetty uzyskał niezbędne podstawy do rozszyfrowania zapisów starożytnej kultury państwa nad Nilem. Odczytywał znaczenie kolejnych liter alfabetu łacińskiego przyporządkowane właściwym przedstawieniom hieroglificznym. Dwuletni wyrok domowego aresztu spędzał w ciasnej przestrzeni wynajmowanego mieszkania, obwieszonego drukarskimi odbitkami i rysunkami uwidaczniającymi symbole pisma obrazkowego. Któregoś z poranków połowy września 1822 roku, wyjrzał przez powleczone satynową poświatą, niewielkie okno. Brukowaną, paryską ulicę przemierzały konne zaprzęgi przekupniów, wypełnione kobiercem wielobarwnych kwiatów, płodami podparyskiej wsi, wytworami rustykalnego rękodzieła, zmierzające na nieodległy plac targowy. Niekiedy wyprzedzały je pocztyliony, turkocące metalowymi obręczami kół po kamiennej nawierzchni ulic. Przemykały rozpędzone dwukołowe faetony, stangreci w wysokich cylindrach poganiali świszczącymi uderzaniami batów ociągające się konie. Przez kilka kolejnych minut młody naukowiec, obserwował obojętnie doskonale znaną sobie okolicę, starając się dostrzec nienapotkany dotąd wzrokiem, element miejskiego pejzażu. Jedyną dostrzegalną rozbieżnością, jaka nasuwała się w przelotnym oglądzie, były pokrywające się jasną sepią kandelabry okazałych kasztanowców, porastających nieodległą promenadę. W niezmienny sposób przecinała promieniście nieodległą perspektywę, gdzieś pomiędzy Rue de Belleville, a Rue de Pyrenees zza której widoczne stawały się wierzchołki drzew parku de Bulleville. Niedostrzegalna dotąd jaskrawość wrześniowego światła wlała się szeroką falą pomiędzy rozwarte na oścież okiennice i było to drugie z niecodziennych zjawisk, jakich doszukał się owego poranka. Jego nozdrzy dobiegł drażniący w swojej przenikliwości zapach wylewanych do rynsztoka pomyj. Gwałtownym ruchem dłoni zamknął niewielkie okno, zamglona szyba zadrżała w rozeschłych, drewnianych okiennicach. Kolejny, niczym nie różniący się od innych letnich dni domowego aresztu – wyszeptał znudzony, przeciągając się na tle zamkniętego okna. Dzień ten w całości poświęcił na rozstrzyganie nurtujących go zagadnień, na ostateczne dowiedzenie nasuwających się przypuszczeń i od dawna pojawiających się wniosków. Długie godziny przesiadywał za wypłowiałym blatem zmurszałego stołu, nad rozłożonymi szerokim wachlarzem oryginałami pożółkłych papirusów, przemieszanych z kopiami francuskich rysowników. Raz po raz rzucał zdawkowe spojrzenia na drukarska odbitkę kamienia z Rosetty, zawieszoną pomiędzy innymi odbitkami, pośrodku ściany, wolnej od drzwi i okien. Kontrastowały one czernią drukarskiej farby z wolnymi polami białych ścian, powodując złudzenie rozmieszczenia na ścianach olbrzymiej szachownicy. Spojrzenia te były niczym więcej jak tylko odruchowymi tikami, wszystkie zapisane na odbitce litery greckiego alfabetu, znaki demotyczne, przedstawione hieroglify przechowywał w pamięci. Przemierzał tam i z powrotem wyboistą podłogę ciasnego

pomieszczenia, zasłaną szkicami hieroglificznych rytów, zwiniętych w cylindryczne zwoje, przekładając w dłoniach kolejne z odwzorowań kartuszy. Zmierzając ku ścianom, wyklejonym odbitkami reliefów z życia królowej Hatszepsut wykonanymi przez nieocenionych w zasługach przyjaciół, na którejś ze ścian świątyni jej imienia w Tebach, raz po raz potykał się o wystający spomiędzy podłogowych desek, arkusz czerpanego papieru. Pochylił się i wydobył spod podeszwy buta, po wielokroć przydeptywany papier. Niedbałym gestem uniósł go i skierował przed oczy, zmęczone nieprzerwaną, kilkunastogodzinną pracą. W chwili gdy nadwyrężony wzrok przebiegł po wiernie odwzorowanym, hieroglificznym zapisie, całodzienne znużenie przeistoczyło się w euforyczny uśmiech, na ponurym dotąd obliczu zagościły promienne rysy, w źrenicach oczu zaiskrzył błysk olśnienia. W dłoniach trzymał skopiowany wizerunek kartuszy wyrytych na ścianach świątyni w Abu Simbel, zawierający cztery znaki, na pierwszym z nich ukazany był krąg lub dysk. Drugi z kartuszy ukazywał podobną inskrypcje składająca się z czterech znaków, jednakże pierwszy hieroglif przedstawiał identyczny dysk lub krąg umieszczony na głowie ukazanej postaci. Według wszelkiego prawdopodobieństwa musi to być postać Boga słońce - powiedział głośno, szeroko rozwartymi ustami – a dysk symbolizujący słońce z pierwszego kartuszu jest umownym przedstawieniem tego samego Boga – nasunęła się jednoznaczna konkluzja. Przywołał znane sobie nazwy egipskich Bogów, na pierwszym miejscu pojawił się właśnie wizerunek Ra – Boga słońca, odziany w prążkowana tkaninę o przenikających się barwach indygo i malachitu, ponadto w białą spódniczkę z żółtą połą, ze zwisającym z tyłu byczym ogonem i czerwonym dyskiem na głowie, otoczonym kobrą. W doskonale znanym sobie języku koptyjskim wyraz słońce brzmi Re, oznacza to ni mniej ni więcej że pierwszy znak musi brzmieć Ra lub Re – doszedł do pospiesznych wniosków. Dwa ostatnie hieroglify zdążył odczytać już w przeszłości, czytano je jako „S”, a ich zdublowanie oznaczało podwójne „S”. Słowo Ra, uzupełnione przez znane już „M”, po dodaniu podwójnego „S” natychmiast zabrzmiało w jego uszach jako Ramses. Bez znaczenia pozostawał fakt brakującej samogłoski „E”, aż nadto dobrze wiedział że w językach starożytnego wschodu nie oznaczano samogłosek, niewątpliwie język Egipcjan nie stanowił wyjątku od tej reguły. Kartusz ukazuje zatem imię Ramzesa, doskonale znanego mu, jednego z najpotężniejszych faraonów. Od dawna poszukiwane znaczenie litery „R” pojawiło się jak podrzucone przez chylące się ku zachodowi słońce, atrybut boga dzięki któremu zdołał ją odczytać – nasunęło się mimowolne skojarzenie. Rozemocjonowany niespodziewanym odkryciem Jean Francois począł przeglądać kopie pozostałych kartuszy w poszukiwaniu nowych staroegipskich imion. W przypływie twórczych sił rozrzucał po niewielkim pomieszczeniu, poniewierające się na podłodze arkusze papieru. Jeden z nich, niczym nie różniący się od pozostałych uniósł na wysokość oczu, trzymał przed sobą inskrypcję złożoną z trzech hieroglifów, dwa z ukazanych znaków znał od dawna, pierwszy z nich to „M”, drugi „S”. Pośród nich widniał wizerunek Ibisa, znanego mu jako świętego ptaka, uosobienie Boga księżyca, wcześniej już poznał jego imię, Tot, przetłumaczył je z Greki i języka koptyjskiego. Imię ukazane w kartuszu mógł zatem bez najmniejszego trudy przetłumaczyć jako Totms, a po chwili skojarzyć z imieniem faraona Tutmozisa. Wypowiedziawszy kilkakrotnie imię to, za każdym razem głośniej, uświadomił sobie doniosłość dokonanego odkrycia. Odszyfrował właśnie ostatni brakujący element niezwykle skomplikowanej układanki, osiągnął cel życiowych dążeń, odarł z woalu tajemnicy zagadkowy byt piramid i Sfinksa. Po latach trudów i wyrzeczeń mógł teraz przemówić głosem, którego ostatnie echa zapadły w nabrzeża Nilu przed ponad dwoma tysiącami lat. Do ciasnego pomieszczenia weszła żona, zaniepokojona niosącymi się po domostwie okrzykami triumfu. Podejrzliwie rozglądnęła się po wnętrzu. Zastając leżącego na podłodze męża, wypowiadającego pośród salw śmiechu imiona kolejnych faraonów, domyśliła się powodów niecodziennego zachowania. Euforyczny nastrój udzielił się także jej.

- Francois. Wszystko w porządku?
- Możesz być o mnie spokojna, w tym właśnie momencie dałem początek Egiptologii.
- Wierzyłam w ciebie przez wszystkie lata wyrzeczeń.
- A ja robiłem wszystko by wiary twojej nie zawieść, aż w końcu dopiąłem swego, jutro egipskie mo-

numenty przemówią ludzkim głosem.
Pojawiające się następnego dnia przejawy samokrytyki, nakazały młodemu naukowcowi zadać sobie kilka pytań. Czy przypadkiem przełomowe odkrycia nie nastąpiły zbyt szybko i zbyt łatwo - poczęły targać nim wątpliwości. Kilka kolejno następujących po sobie dni poświęcił na weryfikację poczynionych odkryć. Nic nie wydaje się wzbudzać podejrzeń, wszystkie kolejno zestawione ze sobą hieroglify pozwalają doszukać się pożądanych znaczeń, tworzą spójny, mogący wyrazić każdą myśli, alfabetyczny zapis – doszedł do wniosku. Nie posiadając się z radości, postanowił o dokonaniu swoim powiadomić brata. Otwierając bez pukania jedne z drzwi Instytutu Francuskiego, bez słowa powitania rzucił na stół, tuż przed osłupiałym Josephem Champolionem, trzymane pod pachą zapiski.
- Drogi bracie, dokonałem tego co wydawało się być niewykonalne, dopiąłem swego.
- Nie mówisz chyba poważnie.
- Najpoważniej jak tylko potrafię, pismo starożytnych Egipcjan można wreszcie uznać za odczytane.
Brat, obserwujący Jean Francoisa próbował doszukać się w jego zachowaniu znamion potwierdzających autentyczność obwieszczanych dokonań, czy przypadkiem nie jest to tylko stan, spotykanej u niego nadpobudliwości, wywołany długim okresem koncentracji i wyrzeczeń. W zamian za odpowiedź zauważył jego blednącą twarz i osuwające się spod tułowia nogi. Z przerażeniem dostrzegł jak z sekundy na sekundę siły opuszczają brata. Wiotczejące nogi nie były już w stanie utrzymać ciężaru ciała, ogarnianego niedoświadczonym dotąd odrętwieniem. Wycieńczony naukowiec stracił przytomność. Po upływie pięciu dni odzyskał siły, mógł już posłać w świat wiadomość „ Egipskie hieroglify zostały ostatecznie odczytane”. Laudacjom środowisk naukowych nie było końca, nie zabrakło też sceptyków, podważających epokowość dokonań. Jedni starali się dowieść jakoby pismo starożytnych Egipcjan to rodzaj alfabetu, a wieloznaczny i niejednolity system odczytywania go, przedstawiony przez Champolliona uznawali za niedorzeczny i raczej wyimaginowany, niż odnoszący się do prezentowanych przez nich poglądów. Inni forsowali tezę o czysto dekoracyjnym przeznaczeniu hieroglificznych obrazów, wykorzystywanych do ozdabiania olbrzymich, ściennych powierzchni świątyń i grobowców. Poddawano w wątpliwość jego dokonania, uznając je za wymysł nadmiernie rozbudzonej wyobraźni. Nikt z nich nie potrafił wszak jednego, przedstawienia wiarygodnych kontrargumentów i konkurencyjnej teorii odczytania hieroglifów, popartej rzetelnymi dowodami. Były to jak miało się wkrótce okazać głosy środowiskowej zawiści, podsycane przez niezaspokojone ego naukowców, nie potrafiących poczynić najmniejszego choćby kroku na gruncie badań języka ludu, zamieszkującego żyzne dorzecze Nilu. W paszkwilanckich memoriałach szkalowali oni dobre imię zyskującego sławę i uznanie francuskiego lingwistę, a z biegiem czasu podobne ataki z braku racjonalnych przesłanek wytracały impet. Nie zabrakło też opinii przypisujących pierwszeństwo w odczytaniu pisma hieroglificznego konkurentom, pośród których prym wiódł Thomas Young, lingwista starszy wiekiem, posługujący się nieporównywalnie szerszym zakresem pomocy naukowych. Niekiedy nawet pojawiał się oskarżycielski ton, krytykujący dzieło Champolliona jako sprzeczne z prawdami biblijnymi. Nieugięty Francuz nie zrażał się podobnymi pomówieniami, a potwierdzeniem odkryć młodego naukowca miła stać się niespodziewana propozycja naukowej wyprawy do Egiptu, złożona przez włoskie środowisko Egiptologów.
- Od włoskiego egiptologa Roselliniego otrzymałem propozycję wzięcia udziału we francusko – toskańskiej ekspedycji naukowej do Egiptu, oznajmił żonie Jean Francois, trzymając pod pachą zwoje papirusów, pospiesznie zamykający za sobą wejściowe drzwi, ażby powstający przeciąg nie rozproszył arkuszy papieru, niedbale rozłożonych na kuchennym stole.
- Nie zamierzasz chyba pozostawić mnie samej z małym dzieckiem, zaniepokojona żona wyraziła pierwsze obawy.
- To niepowtarzalna okazja, będę mógł w bezpośredni sposób konfrontować wyniki swoich prac z oryginalnymi zapisami. To tylko rok, taka możliwość może się już nie pojawić.
- Zdajesz sobie chyba sprawę ze swojego stanu zdrowia, jesteś nadwyrężony i wycieńczony.

- Nie będę prowadził prac wykopaliskowych, a jedynie odczytywał inskrypcje hieroglificzne i poznawał zabytki - z uporem obstawał przy swoich zamierzeniach nieustępliwy naukowiec.
- Jak zwykle zrobisz co uznasz za słuszne, miej jednak na uwadze dobro czteroletniej córki.
- Czas ten minie szybciej niż nam obojgu się wydaje.

Pobyt językoznawcy w Egipcie, datujący się na okres pomiędzy sierpniem 1828 roku, a listopadem roku następnego upływał pod znakiem wytężonych prac badawczych. Ekspedycja przywiozła z sobą kilka tysięcy rysunków sporządzonych w świątyniach i grobowcach, dokumentacja był wierna i nieporównywalnie lepsza od wykonanej przez ekspedycję Napoleona Bonaparte. Eksplorowano Dolinę Królów, odkrywki prowadzono także w Memfis, Karnaku, Abu Simbel, Denderze. Większość artefaktów jednakże przejęli Brytyjczycy, zasilając nimi zbiory Muzeum Brytyjskiego. Nieliczne dotarły do Włoch, między innymi mumie z Gurna, do wybuchu ostatniej wojny zdobiące muzeum miejskie we Florencji.

Trudy szesnastomiesięcznej wyprawy odcisnęły trwałe piętno na zdrowiu zasłużonego odkrywcy. Powrotowi na łono ojczyzny towarzyszyła aureola sławy i uznania, choć nie zabrakło też zjadliwych i zawistnych napaści. Przyznanie mu honorowego członkostwa w Akademii Inskrypcji i Literatury, a także mianowanie profesorem egiptologii, w utworzonej dla niego katedrze Collage de France ugruntowało pozycję naukową językoznawcy. W gronie najbliższych współpracowników pojawiły się też pogłoski jakoby Champollion nie zamierzał upublicznić wszystkich szczegółów egipskiej wyprawy. Zatajał ważne a może nawet najistotniejsze aspekty poczynionych odkryć, co sugerowały zdania przerywane w pół słowa, półgłos do jakiego wyciszał ton swoich opowieści, gdy tylko zorientował się że treść ich przekracza pewną niebezpieczną granicę. Na próby wszelkich nalegań o dokończenie przerwanych w połowie gawęd, reagował milczeniem, bądź też udzielał odpowiedzi zdawkowych i wymijających. Z niewiadomych przyczyn podnosił się zza stołu naukowych deliberacji, niedbale i pospiesznie pakował wyblakłe papirusy, ich kopie i przetłumaczone ich zapisy, po czym bez pożegnania opuszczał poruszone jego zachowaniem, zacne grono utytułowanych lingwistów. Wówczas jego oblicze, mimiczne na co dzień i jowialne przestawało wyrażać emocje, ruchliwe i badawcze spojrzenie zamierało w bezruchu, starając się ukryć bieg myśli. Z pożałowaniem wspominał wieczór, gdy podczas spotkania w gronie przyjaciół egiptologów w winiarni" Bacchus" wychyliwszy o jedną lampkę Bojole nouveau za dużo, nieopacznie nawiązał do przechowywanych świeżo w pamięci doświadczeń z niedawnej ekspedycji. Odtąd nie był już w stanie odeprzeć wzrastającej lawiny dociekań i podejrzliwego tonu, w jakim odnoszono się do jego egipskich odkryć. Z każdym miesiącem pogrążał się w atmosferze niechęci i wyobcowania, mizantropijny tryb życia sprzyjał natomiast szybkim postępom w pracach literackich. Nie zamierzał rezygnować z postanowień powziętych na egipskiej ziemi i z rozmachem zabrał się do opracowania podręcznika gramatyki staroegipskiej.

Bez względu na starania, nie zapisana było mu w gwiazdach ani dłuższa radość z pełnionych funkcji, ani też ukończenie prac nad słownikiem hieroglifów. Lata wyrzeczeń w młodości, nieprzerwany wieloletni wysiłek umysłowy, położyły kres jego krótkiemu życiu, udarem mózgu, w czterdziestej drugiej wiośnie życia. Leżąc na łożu śmierci, zapytany przez najbliższą rodzinę o ujawnienie skrywanych dotąd kulisów egipskiej wyprawy, świadomie przymknął oczy. Po dłuższej chwili otworzył je i zapytał, czy zgromadzonym wokół wiadome są jedne z ostatnich słów Napoleona Bonapartego również leżącego na łożu śmierci? Spotykając się z odmowną odpowiedzią, wspomniał w kilku cichych słowach ostatnią wypowiedź wielkiego Francuza. Nadmienił wówczas o prośbach z jakimi zwróciło się najbliższe grono byłego cesarza, ażeby nie zabierał ze sobą do grobu skrywanej przez długie lata tajemnicy i opowiedział o wrażeniach doznanych podczas nocy spędzonej w wielkiej piramidzie, w trakcie egipskiej ekspedycji sprzed dwudziestu dwu lat. Cesarz nawet wówczas okazał się nieugięty wyszeptując urywane słowa „ I tak byście nie uwierzyli". Były to także jedne z ostatnich słów umierającego Jean Francois Champolliona, zdążył jeszcze dopowiedzieć „ śmierć zabierze moje ciało, a nie wiedzę przekazaną ludzkości" po czym zamknął usta na zawsze.

W czasie gdy Kristin Tresmontant odczytywała fabularyzowaną monografię Jean Francois Champolliona, jego pra pra wnuk zdążył odsunąć na środek niewielkiego pomieszczenia pamiątkową komodę, bogato dekorowaną w roślinne desenie, wniesioną przez dziadka do wspólnoty małżeńskiej. Zdjął ze ścian dwie przekonywujące kopie obrazów Eduarda Maneta, i kilka gwaszy ukazujących letni pejzaż południowej Prowansji, z wydobywającymi się na plan pierwszy polami lawendy. Przetarł je z kurzu i zbliżył do nich twarz, jak gdyby poczuć chciał zapach ciemnopurpurowych kwiatów lub też przekonać się o autentyczności samych obrazów. Według przekazów miały być dziełami dobrze zapowiadającego się impresjonisty, jednakże nazwiska jego nigdy nie udało mu się odczytać, ani tym bardziej zestawić z którymś ze znanych historii sztuki - malarzy. Każdy większy wysiłek poprzedzało długie wpatrywanie się w miejski pejzaż, doskonale widoczny z tej wysokości, niczym z tarasu widokowego pobliskiego ratusza. Choć z miejsca tego po wielokroć przyglądał się najbliższej okolicy, w pejzażu środkowych Pirenejów każdorazowo dostrzegał jakiś nowy, interesujący go element pagórkowatego terenu. Długie minuty siedział zapatrzony w przepastną dal, mieszczącą w sobie krańce miejskiej zabudowy, rozległe lasy i olbrzymiejące z każdym kilometrem niższe, górskie pasma. Perspektywa ta uspakajała go i tłumiła wszelkie niepokoje, często też wyobrażał sobie zdarzenia pospołu niemożliwe i prawdopodobne zarazem, gdy przed ponad stu laty, zasłużony pra pra dziad, chcąc ukoić nadwyrężone oczy, nieustannymi zmaganiami z zapisem starożytnych języków, wyglądał przez to samo okno, zatrzymując wzrok na tych samych wzniesieniach.
Przeciągający się ponad miarę przestój, tłumaczył niechęcią wyrywania żony ze stanu koncentracji. Niepokojący zgrzyt, jaki powstać musiałby podczas prac na poddaszu, z pewnością nie ułatwi jej pracy – uznał, zapatrzony w sielski krajobraz. Nie starał się też taić przed nią niechęci do wykonywania podobnych czynności, wiedział że nie będzie miała mu za złe nieśpiesznych przygotowań do nielubianych remontów. Przez moment rozważał nawet myśl o oddaniu się znacznie przyjemniejszej pracy i dokończenie któregoś z rozpoczętych artykułów. Przed zamiarem tym powstrzymał go nagły przypływ sił i szybka rachuba, że od zakończenia niechcianych prac dzieli go jednorazowy wysiłek, po czym będzie mógł oddać się przyjemniejszym czynnościom. Na odległość kilku metrów przesunąć musi jeszcze serwantkę, ciężką lecz wyglądającą na poręczną, niewiele mniej ciężkie podwójne łóżko o masywnym, dębowym wezgłowiu, zwieńczone płaskorzeźbą postaci kupidyna. Stolik w stylu późnego cesarstwa, obstawiony posrebrzanymi zastawami i przeszkloną kryształem gablotę, przy odsuwaniu której niewątpliwie będzie musiał skorzystać z pomocy małżonki. Postanowił jako pierwsze przestawić łóżko, pamiętające zapewne czasy jego prababki. Zgodnie z przekazem rodzinnym pochodzić miało z nieodległej Hiszpanii, a przywędrowało wraz z którymś antenatem w stopniu pułkownika, powracającym z kampanii hiszpańskiej podczas wojen napoleońskich. Nie okazało się być tak ciężkie, na ile mogły wskazywać jego rozmiary. Poddało się po kilku wahadłowych ruchach każdego z krańców. Stojącą w narożniku pokoju serwantkę, zapamiętał w szczególny sposób. Odkąd sięgał pamięcią stała w jednym i tym samym miejscu, nawet liliowy kolor ścian w wielu miejscach kontrastował z karmazynową barwą przebijającą zza niej. W przeciwieństwie do niego ktoś z jego protoplastów nie zadał sobie trudu, by przy okazji renowacji poddasza odstawić ciężki mebel. Przyparł do niego całym ciałem, mebel wydając spod siebie przeciągły zgrzyt, nieznacznie się przesunął. Pokonanie kolejnych centymetrów przyszło już z nieco mniejszym trudem, jako że mógł zaprzeć się o ścianę, przysłoniętą dotąd znieruchomiałym meblem. Gęsta sieć pajęczyn oplatająca tylną ścianę serwantki przylgnęła do ubrania mężczyzny, a im dalej posuwał się ku zbiegowi ścian, gęstniała jeszcze bardziej. Postanowił nie zważać na nieprzyjemne w dotyku, zakurzone pozostałości pajęczych sieci, w zamian jednym zdecydowanym ruchem wypchnąć serwantkę na środek pokoju. Tak też uczynił. Przysadzisty zabytek, wraz z niewielkim perskim dywanem, na jakim spoczywał, znalazł się pośrodku pomieszczenia. Mężczyzna otarł z ubrania przywarłe zabrudzenia, po czym przystąpił do usuwania ich z narożnika pokoju. Wraz z pajęczynami ze spękanych ścian odpadły fragmenty zwapnia-

łego tynku. W wielu miejscach tynk złuszczał się całymi połaciami. Serwantka, pozbawiająca przez długie dziesięciolecia ściany cyrkulacji powietrza, zagradzająca dostęp do źródła ogrzewania, przyczyniła się do wystąpienia pleśni osłabiającej strukturę ściany. Żurnalista chcąc określić skalę zniszczeń i rodzaj materiałów jaki niezbędny będzie do ich usunięcia, przesunął dłonią po uszkodzonej powierzchni. Pod wyprostowanymi palcami poczuł wyraźne zgrubienie, a tynk w tym miejscu wydawał się być bardziej kruchy. Pod nieznacznym naporem dłoni odpadł zupełnie, z wyrwy powstałej w ścianie mężczyzna dostrzegł narożniki niewielkiej objętościowo książki. Zaciekawiony żurnalista zapalił światło po czym z bliższej odległości przyjrzał się znalezisku. Niepewnym ruchem dłoni wydobył przedmiot, odruchowo zdmuchnął i strzepnął z niego kurz wraz z pozostałościami skruszonego tynku. Spłowiałe i pożółkłe kartki spięte w książkowy format pozbawione były twardej okładki. Na rozkładówce widniał atramentowy napis wykonany odręcznie. Zamaszyste i finezyjne litery składały się w nagłówek;

PAMIĘTNIK JEAN FRANCOIS CHAMPOLLIONA PODCZAS EGIPSKIEJ

WYPRAWY SKREŚLONY, JAK I W NIEDŁUGI CZAS PO NIEJ

Zaintrygowany znaleziskiem żurnalista przyjrzał się bliżej znalezisku. Pamiętnik zachowany był w zadowalającym stanie. Nieznaczne wystrzępienia nielicznych kartek nie naruszały kolumn liter zapisanych granatowym atramentem, a staranny, niemal kaligraficzny charakter pisma umożliwiał swobodny odczyt. Zafascynowanie postacią pra pra dziadka, szacunek dla niej i uznanie spowodowały że trzymając teraz, najpewniej jego osobiste zapisy w dłoni, rytm serca mężczyzny wzmagał się z każdą przerzucaną stronicą, stymulując przyspieszony krwioobieg, rozchodzący się falą ciepła po całym ciele, w szczególności zaś wyczuwalny w skroniach i nadgarstkach. Jean Francois Tresmontant rozsiadł się wygodnie u wezgłowia łóżka, powrócił do strony pierwszej i zagłębił się w lekturze.

CDN

Drodzy czytelnicy, gorąco zachęcam do zakupu mojej debiutanckiej powieści MATEMATYCZNY WZÓR NA ISTNIENIE BOGA dostępnej w większości księgarń internetowych w promocyjnych cenach, dziękuję i pozdrawiam, autor.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Maciej Bienias, dodano 09.11.2021 19:48

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.